

# TADEUSZ KONWICKI



# BOHIN'

Tadeusz Konwicky

BOHIŃ

Wydawnictwo Estymator  
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-84-6

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),  
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował  
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa 1987

Projekt okładki: Olga Bołdok



# 1

Panna Helena Konwicka wstała tego dnia zaraz po wschodzie słońca, jak to zwykle czyniła w ciągu tygodnia. Cały dom jeszcze spał. To znaczy spały jeszcze bielone ściany, mahoniowe szafy, firanki muślinowe w oknach i deski podłogi, które długo w noc zeszłego wieczoru trzaskały, stękały strzelając sucho od czasu do czasu. Spała także służba i spał ojciec zamknięty od wewnątrz na klucz w swoim gabinecie.

Wielka kropla rosy zwisała z liścia winogrodu, skrząc się jak kryształowa kula chiromantki. Panna Helena zapatrzyła się w tę drobinę kolorowych igieł świetlnych, zapatrzyła się aż do bólu w oczach, a właściwie aż do załamania oczu, kiedy ta kropla wilgoci narodzona nocą zaczęła rozplýwać się w seledynowej nieostrości.

– Zaraz – powiedziała do siebie panna Helena – dlaczego drzę wewnętrznie od wczoraj, czemu coś mnie budzi przez całą noc, dlaczego boję się, jak nigdy dotychczas nie bałam się. Tak, śniłam zęb, swój zęb złamany ukośnie i zakrwawiony, co wypadł z ust na stuloną dłoń.

Jęła ubierać się powoli w przygotowany jeszcze poprzedniego popołudnia odświętny strój. Ściągała z namysłem sznurówkę gorsetu mierząc wolne końce długością serdecznego palca. Tak, znowu przytyła, choć tyle było ciężkiej pracy od ubiegłego roku.

I nie wiadomo czemu powiedziała raptem na głos:

– A bo z Żydami obchodzę zawsze Nowy Rok.

Ale dom spał jeszcze. W drzewach ćwierkały już wróble i jaskółki wyleciały z glinianych gniazd pod okapem dworu i wracały stale ukośnym lotem do tych szarych ziarnistych worków, co wisiały pod dachem. Za parkiem, za tą resztką starych zaniedbanych drzew, zaryczała krowa jak parostatek rzeczny. I panna Helena, moja babka, zatrzymała się przy oknie, i jeszcze raz spojrziała na kroplę rosy z zamkniętym w sobie obrazem świateł świątecznego poranka, i jeszcze raz pobiegła wzrokiem w tę zszarzałą, sierpniową zieleń, zieleń zmęczoną długim latem, skwarem i własną bujnością.

Na pewno słychać było przybliżający się i oddalający szum Wilii, bo ta stara rzeka zataczała tu za parkiem płytkie półkole i, żeby nadrobić stracony czas, przyspieszała biegu i dlatego ludzie przyjeżdżali czasem z daleka, żeby posłuchać jej szumu, jej mrużenia, jej bełkotliwego gwaru.

– A niech będzie, co ma być – westchnęła panna Helena, choć dobrze wiedziała, że nic nie będzie i ta trzydziesta rocznica minie gnuśno jak wszystkie inne dotychczas.

A ja jestem jeszcze daleko od mojej babki, mojej młodej, ale już zbliżającej się pod starzenie babki, która wstaje razem z dniem, z dniem Matki Boskiej Zielnej, co był jej dniem urodzin, ale tego nikt nie jest pewien, bo w tamtych latach chrzczono dzieci, jak przyszła ochota, jak pozwalało zdrowie, albo czas. A jeszcze jestem daleko w mroźnej nocy pod czujnym okiem kota, który czaruje moje życie i nie może nic wyczarować.

A ja przedzieram się przez zaułki czasu, przez drętwość wyobraźni, przez moją własną rzekę jakiegoś bólu i muszę się przedostać na tamten brzeg, do mojej babki, Heleny Konwickiej, starzejącej się powoli panny w smutnym czasie, w posępnej epoce, w beznadziejnej chwili beznamiętnej historii, co płynie jak powódź za nami, obok nas, przed nami.

I już jestem nad brzegiem Wilii, ciemnozielonej rzeki z niebieskimi zmarszczkami na łagodnej toni. Już przedzieram się przez chaszczki jakichś roślin, traw i ziół, których imion nie pamiętam, bo nie musiałem zapamiętać. Poznają z

trudem wielkie dzikie mięty, zaczynające już wonieć pod naporem słońca, omijam drzewa durnopianu, zwanego gdzie indziej blekotem, głaszczę krzaki porzeczek z pozasychanymi już owocami. Ale nie mam czasu, bo śpieszę do mojej babki, która dziś obchodzi swoje urodziny w niedużym folwarczku zwanym chyba Korzyścią albo Bohinią, skromnej sadybie szlacheckiej odległej o kilkanaście wiorst od kolei nie tak dawno zbudowanej.

Więc panna Helena Konwicka wstała tego dnia zaraz po wschodzie słońca. Cały dom jeszcze spał. Ubierała się przed lustrem, pałacowym, w złoconej ramie, ale o mętym, pełnym czarnych lizajów zwierciadle. Oglądała siebie jak zjawę i wydawało się jej czasem, że ta daleka kobieta w płóciennej koszuli wykonuje trochę inne ruchy niż ona, że ją po prostu niedbale przedrzeźnia, albo zdąża jej śladem z jakimś dziwnym i znaczącym opóźnieniem, i że znienacka da tajemny znak, czy otworzy niewidoczne drzwi, które ukażą nieznanne, nierozpoznawalne, nieodgadnione.

– Tak już będzie na zawsze – rzekła cicho, a jednocześnie powiedziała sobie w duchu, że nie, że przecież to niemożliwe, że prędzej się zabije któreś jesiennej albo zimowej godziny.

A ciało było jeszcze młode, piękne, kuszące, jakby obce, jakby nie jej, jakby z innego świata. I podniosła raptem ręce w oknie wypełnionym wschodzącym słońcem. Palce stały się gorąco różowe, widać było w nich ciemne pręgi kostek i stawów. Wtedy nagle błysnęło jak od małanki, bo nie odezwał się grzmot i ptaki spokojnie ćwierkały na dachu dworu i w drzewach parku.

– Pewnie się zdawało – powiedziała cicho i od razu pomyślała, że to mówienie do siebie jest jednak zapowiedzią staropanieństwa.

Znowu przeleciała jakaś jaskrawość przez podjazd, park i zarysy folwarcznych budynków. Panna Helena zmrużyła oczy. Czekwała na uderzenie piorunu albo na głucho dudnienie przewalającego się grzmotu. Ale ciągle trwała ta poranna cisza wypełniona jedynie wesołymi głosami ptaków.

– Wszyscy śpią. Nie ma świadków – szepnęła wciągając przez głowę szeleszczącą od krochmalu suknię. – Może to był znak. Znak tylko dla mnie. Ale od kogo?

I przeżegnała się raptem, i zaszepotała śpiesznie Zdrowaś Mario. Za ścianą brzęknął sprężynami zegar, zaczął wybijać godzinę. Ale nie zdążyła policzyć tych uderzeń. Może było pięć, a może sześć.

Ruszyła przez amfiladę niskich pokoików w stronę sieni. Szła tak lekko, że nawet stare deski podłóg nie skrzyknęły ani razu. Panna Helena była niewysoka i szczupła, ale czuło się w niej jakąś siłę. Niosła dumnie niedużą głowę z ogromnymi włosami koloru kruszynowej suchej kory, w błyskach czerwieni, z włosami, jakie miał mój ojciec, którego pamiętam z nieskończonej długiej chwili śmierci. A twarzyczkę panna Helena posiadała drobną, ze zgrabnym noskiem ozdobionym lekkim garbkiem i garstką maleńkich ciemnych piegów, z ustami może troszeczkę za cienkimi i dlatego często wydymała odrobinę dolną wargę, żeby je powiększyć, i ta słabostka przeszła w końcu w przyzwyczajenie i panna Helena coraz częściej wydymała tę dolną wargę przy ludziach, a czasem nawet kiedy była sama, a raz i drugi zdarzyło się to jej nawet w czasie modlitwy. Oczy panny Heleny były ciemnoniebieskie, kiedy indziej szare, a niekiedy zdawały się zielonkawymi. I takie twarze, jak panny Heleny, nazywano dawniej słodkimi, bo rzeczywiście była w nich i słodycz, i dziecięca niewinność, i jakaś zaduma tych dawnych aniołów, co kiedyś zaludniały niebo i ziemię, a teraz przeniosły się nie wiadomo dokąd.

Zajrzała z przyzwyczajenia do kuchni. Emilka podniosła się od drzwiczek ogromnej płyty u spodu chlebowego pieca omszałego głęboką czernią sady.

– Nie ma cugu – rzekła ziewając. – Ledwo słońce weszło, a już taki skwar.

– Konie zaprzęgnięte?  
– Pewnie zaprzęgnięte – i przesłoniła dłonią szeroko otwarte usta pełne jeszcze zadziwiająco białych zębów.

Panna Helena wyszła na ganek, stanęła między drewnianymi kolumnkami, z których odpadały płaty wapna.

– Dokąd idę? – spytała znowu samą siebie. – Po co idę?

I nagle zdało się jej to wszystko bez sensu. Ten stary pokraczny park przysypany sierpniowym pyłem, co wstaje z wygrzanych polnych dróg, to szarawe niebo, ganek opleciony winoroślą i ona sama walcząca z ziewaniem, którym zaraziła się od Emilki.

Wtedy gdzieś od strony Wilii albo zza lasów po drugiej stronie rzeki nadleciał dziwny, przejmujący dźwięk jakby krzyku ogromnych stad ptasich albo dalekiego zawodzenia tłumu ludzkiego. Panna Helena знаła już ten niesamowity dźwięk, albo jej się wydawało, że go skądś pamięta.

Spostrzegła raptem, że nie wzięła ani książeczki do nabożeństwa, ani różańca. Chciała w nagłym porywie wrócić do swego pokoju, ale się rozmyśliła.

– Widać tak trzeba – szepnęła.

Poszła ścieżką pomiędzy wysokimi pokrzywami w stronę zabudowań folwarcznych. Minęła nieduży stary sad, gdzie z głuchym łoskotem spadały jabłka już nagrzane przez poranne słońce.

Przed wozownią o zapadających się ścianach furman Konstanty zaprzęgał konie nie do pary, jeden był bułany a drugi kary, oba chude, z okropną pralnicą żeber na zakłęsłych bokach, niedoczyszczone, osowiałe. Bryczka też nie przedstawiała się lepiej. Przechylona była na jeden bok, jakby pękł resor, a w zaśmieconym słomą wnętrzu gospodarzyła stara kura, która już nie nadawała się na rosół i czekała bez pośpiechu na śmierć naturalną.

– Niech będzie pochwalony – rzekł furman zapierając się kolanem o chomąto, żeby je związać rzemieniem.

– Na wieki wieków.

– Tak ja już gotowy, panienko.

– No to nie ma co mitrężyć.

– Pośpiejem. Na siódmą będziem.

## 2

Potem jechali krótko przez pola z niezżętym do końca zbożem i rychło zanurzyli się w las, z początku liściasty, a później sosnowy, przetykany często brzozą. Ogarnęła ich silna woń jałowców i mokrych od rosy mchów. Konstanty zacinał skapcianią biczem po suchych zadach, konie zrywały się do niezdarnego kłusa, popierdując wesoło, a wtedy furman odwracał się z kozła i spoglądał na Helenę z jakimś odcieniem dumy z tego zaprzęgu, z tego kłusa i z tego świątecznego poranka.

– To ile Konstantemu lat wybiło tego roku? – zadawała mu to samo pytanie, które zawsze skracало podróż.

– A będzie musi sto osiemdziesiąt dwa.

– To znaczy, że Konstanty jest najstarszym człowiekiem na świecie? – pytała śmiejąc się Helena.

– A pewnie i najstarszy – godził się z powagą furman. – No mówią ludzie, że w Aponii to jest jeden człowiek jeszcze starszy.

– A gdzież ta Aponia? – zaśmiała się ciszej, żeby nie urazić furmana.

– A tam – pokazał biczem gąszcz leśny, w którym pojawiały się jak białe płomyki pierwsze ślady słońca, co z wolna podnosiło się w stronę prószącego szarością zenitu.

Wjeżdżali raptem w płytkie jeziora jeszcze nocnego chłodu, potem wydobywali się na gorące już pagórki, gdzie spod popękanej pokrywy mchów wysypywał się jak z rozbitej klepsydry miarki piasek.

– To strach tak długo żyć – powiedziała cicho do siebie.

Ale stary był czujnie odwrócony, z wielką, sękatą dłonią przy włochatym uchu.

– A strach – zgodził się z westchnieniem. – Czasem to myślę, że mnie w ogóle śmierć niesądzona.

Smagnął prawego konia resztką bicza i zamyślił się na moment. Gdzieś w głębi lasów ogromnych jak puszcza odezwał się daleki strzał. Konstanty przeżegnał się, potem obejrzał się ostrożnie na Helenę.

– On znowu pokazał się na wiosnę – rzekł szeptem, spoglądając znacząco.

– Kto: on?

– No wie panienka – odparł niechętnie. – Od miatieża, znaczy się, od powstania nie pokazywał się, a teraz wziął i pokazał się.

– Konstanty go widział?

– Pewnie, że widział.

– A jaki on?

– Ech, lepiej nie mówić – machnął biczyskiem stary. – On jeszcze za ostatniego króla ludzi i Moskalom, i Prusakom wydawał.

Na brzegu lasu stała sarna. Patrzyła wielkimi mokrymi oczami na zbliżającą się bryczkę. Od czasu do czasu zaczynała żuć, żeby po chwili zastygnąć bez ruchu.

– To nasza? – spytała Helena.

– Musi nasza – rzekł furman.

– Malwinko, ciaś, ciaś, ciaś.

Sarna zawahała się strzygąc uszami, a następnie postąpiła kilka kroków do przodu. Lewy koń, ten bułany, rzucił zadem spłoszony i zachrypiał.

– Musi nie nasza – stwierdził Konstanty ściągając lejce.

– Chodź, Malwinko, ciaś, ciaś – wabiła Helena.

Zwierzę przepuściło bryczkę, a potem weszło na drogę, w głęboki siwy piasek jak brzozy popiół i patrzyło bez lęku za odjeżdżającymi.

Ja znam ten las, ten dwór w ruinie i tę rzekę, co niesie przed siebie smoliste tratwy. W tej chwili barwny motyl zawisł nad krzakiem jałowca, a jeszcze przed ułamkiem sekundy uderzał boleśnie o szybę mego okna pokrytą przeźroczystym szronem. Słyszę jakiś wysoki brum, coś na kształt dzwonienia drutów telegraficznych przed zmianą pogody, albo dalekiego rżenia motorów niemieckich wozów pancernych, czy tylko nocnego jęku starych murów warszawskiej kamienicy. Gdzie ja jestem. Stoję na progu. Zatrzymałem się w drzwiach. Tak słabo widzę. Jeśli przekroczę, nie będzie powrotu. Jakiś ból ćmi w głowie. O tym bólu już wspominałem kiedyś. Widzę ten las jak przez poranną mgłę. Koła bryczki miały popiół piasku.

### 3

Panna Helena ocknęła się z zamyślenia.

– No niech Konstanty powie, mam ja iść za męża?

Furman nie odwracając się, długo milczał, aż wreszcie powiedział bez pośpiechu:

– Musi sama najlepiej wie.

– A pójdzie Konstancy ze mną do pana Platera?

Stary znowu milczał jakiś czas.

– Ja by i poszedł. Ale nie uchodzi. Całe życie woził pana Michała, znaczy się dziedzica, to jakżeż teraz na starość mieniać konie. Nie uchodzi.

Panna Helena uśmiechnęła się z przykrością. W tej oględnej odpowiedzi stangreta kryła się dziwna niechęć do Platerów. Jakby pokrywając zmieszanie zaczął okładać konie tym biczem ze szpagatu. Konie poderwały się do niezdarnego kłusa.

– A może jeszcze poczekać – szepnęła do siebie Helena. – Ale na co już czekać.

Gdzieś bardzo daleko odezwał się cienki i śpieszny głos sygnaturki. Helena podniosła głowę. W koronach sosen było już pełno słońca.

– Konstancy, zdążymy?

– Czemu nie, pośpiejem.

Rozpięła biały parasolik. I tak już ramiona nie wiadomo kiedy i gdzie pokryły się delikatną ogorzeliźną. Bryczka kolebała się na wszystkie strony, podskakując na ukrytych w piachu korzeniach drzew. Panna Helena westchnęła. Starzec czujnie odwrócił głowę, ale tylko tyle, jakby chciał spojrzeć w głąb lasu.

– Człowiek to stworzenie niewolne – rzekł niegłówno.

– A skąd to Konstancemu przyszło do głowy?

– Bo tak i jest. Wszędzie, po całym świecie, jedni nad drugimi panują. Jak nie tak, to siak. Wszystko wola Boża.

– Znaczy mam iść za męża?

– Sama wie najlepiej.

A nią raptem wstrząsnął dreszcz. Zdało jej się nagle, że traci oddech. Szeroko otwartymi ustami zaczęła chwytać hausty wilgotnego powietrza pełnego żywicznych woni. Ale i to nie pomagało. Zerwała się z siedzenia, chwyciła zardzewiały pręt okalający kozioł. Furman nie widział tego raptownego ataku duszności zajęty ściąganiem lejców, które opadły i wlokły się po ziemi. Helena zobaczyła kątem oka wielkiego brązowego borowika siedzącego na brzegu koleiny drogi. Na co mi grzyb, pomyślała. W takiej chwili. Trzeba się uspokoić. Należy zebrać myśli. Rozpierzchnięte myśli starzejącej się panny. Jak to przeszło, kiedy przeleciało. Dopiero co było powstanie, od którego miało się rozpocząć inne życie. Nocne rozmowy. Wyjazdy o świecie. Rozstrojony fortepian. Dalekie strzały w lasach. Czasem gwałtowny tętent nad ranem. A ja miałam osiemnaście lat.

Niska gałąź sosnowa trzepnęła Konstanciego po sukiennej czapce. Ale Helena zdążyła się uchylić. Spostrzegła, że zbiegły jej palce obejmujące kurczowo żelazny pręt otaczający kozioł. Powoli odczepiała palec po palcu przyklejone do rdzawej balustradki. Bryczka podskoczyła na niewidocznym kamieniu, a ona opadła krzywo na siedzenie wyłożone starą, sparciałą skórą, z której sterczały kłaki morskiej trawy.

– To nie może być tylko tyle – powiedziała niegłówno.

– A? – nadstawił ucha stangret, co był i stangretem, i furmanem. Ale furmanem częściej, bo na co dzień.

– Nie może być w ogóle – rzekła. – Niech Konstancy powie. Naprawdę masz tyle lat?

– Ja pamiętam, pani, jeszcze króla Sasa.

– Słabo mi się zrobiło. Ledwo nie straciłam przytomności.

– Nawalnica idzie. Po obiedzie dojdzie.

Słup komarów albo jakichś drobnych muszek chwiał się nad drogą. Już od dłuższego czasu towarzyszył koniom, których uszy zdobiły ochraniacze ze zgrzebnego płótna, obszyte czerwoną wstążką, dla ochrony od kąśliwych owadów. Już mi lepiej. To chwilowy atak strachu. Ale strachu przed czym. Nadciąga z północy burza.



Zwierzęta boją się piorunów i ludzie boją się niebieskiego a może piekielnego ognia, uspokajała siebie.

– A ot tak i szkoda pana Piotrusia – rzekł raptem w zamyśleniu Konstanty. Helena zamarła na moment. Potem przeżegnała się ukradkiem.

– Co się Konstantemu przypomniało?

– Zawsze pamiętam, kiedy tędy jadę.

– Tyle lat minęło. Ja już sama nie wiem, czy to prawda, czy nieprawda.

– Żal Piotrusia. Urodził się do wielkiego życia.

Słuchali, jak koła leniwie miały popiół drogi. Las brzmiał głosami ptaków obudzonych przez słońce. Helena nagle osłoniła się parasolem. Wierzchem dłoni starła coś mokrego z powieki.

– Po co Konstanty o tym mówi? – szepnęła z rozpaczą.

– Ja ich wiozłem wtedy, bo wielkie wtedy były śniegi. Konie im popadały. A kozacy parli od Oszmiany. Szli wielką obławą. Trzeba było uciekać w nasze strony. Milczał obracając w palcach stare biczyisko.

– Może on i myślał, że jak ma być śmierć, to niech będzie tu, blisko swoich.

Ja go już zapomniałam, pomyślała. Jaki on był, wysoki czy niski, blondyn albo brunet, wesoły a może raczej stateczny. Tyle lat, cały wiek. Ale to nieprawda. Pamiętam oczy, usta, uśmiech i tę wibrację idącą od jego dłoni, barków, muśnięcia kędzierzawych włosów. Znowu podniósł się z lasu ten dziwny dźwięk, który słyszała rano. Jakby ziemia w swoim locie ocierała się o ściany nieba, albo może piekła.

– Konstanty, słyszysz? – spytała.

– Pewnie myśli, że to ten Schickelgruber łyje leje nad swoimi grzechami? A to rojsty budzą się. W nocy zastygły, a teraz przy słońcu przeczchnęli się. Ot tobie i masz – stęknął na końcu z rozpaczą. – Prrr, ciebie wilcy...

Musztrował konie, dając drogę komuś z naprzeciwka. Biały, wściekły koń przeleciał obok zaprzężony do fantazyjnej linijki. Helena obejrzała się za tym końskim albinosem.

– Uszanowanie pani dziedzicze – odezwał się z rosyjska powożący linijką. A był to niski, ale szeroki jak szafa mężczyzna w mundurze isprawnika. Czarne, maleńkie oczka śmiały się dobrodusznie w ogromnej twarzy ozdobionej sutym wąsem, twarzy szarej i okrutnie dziobatej.

– Dzień dobry – powiedziała niechętnie Helena zasłaniając się parasolką.

Linijka pomknęła w tumanach kurzu. Jeszcze długą chwilę słysząc było jej dzwoneczek rosyjską modą zawieszony przy chomaćce.

Konstanty przeżegnał się szeroko.

– Tfu, duch nieczysty. Patrzcie, jak on lata na tej swojej linijce. Rano tu, wieczorem już pod Bezdunami. Węszy jak pies gończy.

A jej się wydało, że słyszy Wilię. W tym miejscu droga rzeczywiście zbliżała się do rzeki, do stromego urwiska, pod którym bełkotała woda w przewróconych pniach starych sosen. Skąd ja ten głos pamiętam, pomyślała. Skądś pamiętam, ale jakby nie ze swego życia. Co się ze mną dzieje. To nic. Jutro trzeba zacząć smażyć konfitur. Opuściłam się w pracy. Czekałam na ten dzień. Ale ten dzień taki sam jak wszystkie inne.

Lecz znowu przebiegł pod suknią wzdłuż stosu pacierzowego ten chłodny, nieprzyjemny dreszczyk. Tak, to już trzydzieści lat. Próg starości. Starość bez młodości i bez wieku dojrzałego. Bóg tak chciał. Bóg zrządził. Bóg pokierował.

I przeżegnała się ukradkiem, rozglądając się na boki, czy ktoś tego nie widzi.

– Wybacz, Panie Boże – szepnęła – i daj łaskę wiary.

## 4

Podniosła raptem głowę i zobaczyła przed sobą wypłowiałe oczy Konstantego. Patrzył na nią w milczeniu, nie dbając o konie, które szły noga za nogą z nisko opuszczonymi łbami. Teraz wolno odwrócił się, zasłonił plecami.

– Przecież to niemożliwe, żeby Konstanty miał sto osiemdziesiąt lat – powiedziała z jakimś nagłym gniewem.

– Sto osiemdziesiąt dwa – poprawił nie odwracając się.

– Nikt nigdy nie słyszał o takim wieku. Po co Konstanty plecie podobne niedorzeczności.

– A w Piśmie Świętym nie piszą o takich latach? Tyle ludzi umarło za mego żywota. I polscy królowie, i Napolion, i dużo carów straciło życie, i Kościuszko, świeć Panie nad jego duszą, urodził się za mojej pamięci, nawojował się i tu, i w Ameryce, i gdzieś tam w jakimś zamorskim kraju oddał duszę Bogu.

– Konstanty, ile ja będę żyła?

On powoli odwrócił się, uśmiechnął ledwo dostrzegalnie pod wąsem, który kiedyś był siwy, a teraz stał się zielony jak rzeczny wodorost.

– Dla ciebie, panienko, jeszcze daleka droga. Ty dopiero na początku.

Znowu poczuła ten dziwny dreszcz i zarazem zrobiło się jej duszno. Zamknęła parasol, jakby ten biały krążek batystu tamował dopływ powietrza pachnącego tutaj niedaleką rzeką i rozgrzanymi na słońcu łachami czernic. Już kiedyś było jej tak duszno i podobny chłód biegł wzdłuż kręgosłupa. Boże, kiedy to było. W niemowlęctwie, o którym opowiadała piastunka, w dzieciństwie wspominanym niegdyś przez ojca i domowników, w młodości, co ją już sama powoli zapomina. A może w trumnie, która ją kiedyś zamknęła na wieki.

Wtedy nagle zatrzymały się konie. Helena podniosła oczy i zobaczyła między głowami końskimi stojącego pośrodku drogi wyrostka, ubranego ni to jak wypędzony z gimnazjum studencik, ni to jak wędrowny rzemieślnik.

Skłonił się trochę może za nisko.

– Dopraszam się łaski wielmożnej panienki, skaleczyłem nogę i nie mogę iść dalej.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI